DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 19 lutego 1922 r. | Nr. 4.

Do mojego grajka.

Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzej;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami, — jedna, druga,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże, grajku, będziesz w niebie.
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę;
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo,
Zabłąkane nuty chwyta;
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchnu ano w koło,
Potem raźno na odsiebkę,
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Raźno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce;
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!...

Teofil Lenartowicz.

O Piaście.

W cieniu lip widać jasną, modrzewiową chatę. Mieszkańcy chaty — to Piast, Rzepicha i synaczek ich, Ziemowit.

Życie tych trojga było pracowite, serca ich miłościwe i dusze tak białe, jakby każde z nich miało w piersi białego gołębia.

A i bożęta (liczba mnoga od: bożę,-cia; inaczej bożątko) mieszkały w modrzewiowej chacie i dobrze im się działo, gdyż i ojciec i matka i synaczek, co mogli, to im poddawali: a to miodu złotego, a to przaśnego kołacza (przaśny kołacz = pieczywo z ciasta niekwaszonego), a to co najbielszych twarogów (tutaj: ser), bo tam przy pracy obfitość była wszelkiego dobra i mienia.

Więc i w królewskim pałacu nie mogło być bożętom lepiej, jak w tej cichej, jasnej, pachnącej żywicami chacie.

Aż przyszedł czas, że synaczkowi miano pierwszy raz ostrzyc włosy. Zaraz się też sąsiedzi zjeżdżać i schodzić zaczęli, kto pieszo, kto na wozie, kto na podjezdku (mały młody konik), aż się w piastowej zagrodzie uczyniło gwarno.

Krzątał się Piast, krzątała się Rzepicha, aby gości uczcić i obsłużyć, a i domowe bożęta pomagały pilnie dzień cały. Aliści, gdy słońce zapadać zaczęło, rozległo się śpiewanie tak cudne, iż ludzie oczy podnieśli ku niebu, mniemając, że stamtąd głos idzie.

Jedne tylko bożęta pobladły nagle i zaczęły drżeć w sobie, jakby na nie zimny powiał wiatr, choć pogoda była majowa.

Jak który biegł z posługą, tak stanął, trzęsąc się cały, że aż mu ząb o ząb dzwonił.

Tymczasem od zachodniej strony ukazali się w wielkich zorzowych światłach dwaj jaśni wędrowcy, którzy właśnie ku chacie piastowej szli z onym śpiewaniem.

A było to śpiewanie tak mocne, a słodkie, jakoby wszystkie słowiki zawiodły po topolach w sadzie i jakby wszystkie lipy w piastowej pasiece zaszumiały drobnym liściem, a wszystkie zboża i trawy wydały głos srebrny, dźwięczący.

I śpiewali dwaj jaśni wędrowce, jako się czas jeden kończy nad tą krainą, a inszy zaczyna. Śpiewali, jako upadną dawne bogi, których ludzie sobie po świętych gajach uczynili, a na ich miejsce przyjdzie Pan wielki, mocny, Pan nieba i ziemi.

I słuchali ludzie śpiewania tego, a na wszystkich twarzach wymalowała się moc i nadzieja.

Ale bożęta, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, zebrały się w najciemniejszym zakątku piastowej komory i drżały skulone, właśnie jak drżą liście jesienne, gdy już im opadać pora. Bo z dziada pradziada miały one przepowiedzianą taką pieśń, która przyjdzie od zachodniej strony, a będzie mówiła o wielkim i mocnym Panu, a Panu nieba i ziemi, a gdy ją usłyszą, znak to będzie, że muszą z chaty w świat iść i miejsca jasnym, skrzydlatym duchom ustąpić.

Napróżno Rzepicha nasypała im maku, nakruszyła słodkiego kołacza; bożęta, choć głodne, nie wyszły z kąta w komorze, nie spożyły tego daru. Jeden tylko, co najstarszy skrzat (duch ciemności; skrzat = bożątko), uchylił drzwi komory i do świetlicy (wielki, jasny pokój; izba gościnna) przez szparę zajrzał. Ale wnet rękoma oczy zakrył, gdyż od szat wędrowców onych taki blask bił, jakoby samo słońce w świetlicy wzeszło.

Wiele dni, wiele nocy przesiedziały bożęta w komorze o chłodzie i głodzie, póki ta wielka jasność nie wygasła, i póki nie ucichła pieśń dzwoniąca w powietrzu nad chatą.

Gdy wreszcie odważyły się wyjść na zaproże (miejsce tuż za progiem chaty) i chciały gospodarzom po dawnemu służyć, ujrzały Piasta, jako w złocistym płaszczu napowierzch lnianej siermięgi wdzianym i w jasnej koronie na tron szedł, gdzie mu już nie bożęta, ale rycerze i dworzanie służyć mieli.

Z Rzepichy też się królowa zrobiła, a z Ziemowita małego królewicz. A tak skończył się żywot kmiecy w chacie, a zaczęło się królowanie w zamku.

Bożęta wszakże pilnowały po dawnemu przędzy, dobytku, pola i pasieki, nie chcąc opuścić miłej zagrody, gdzie tyle lat szczęśliwie i spokojnie żyły.

Ale nie było już w nich dawnej sprawności i mocy. Stawiał im Piastów szafarz to mleka, to miodu na brzegu ławy, jako Rzepicha czyniła, ale bożęta nie śmiały do tego jadła iść, bo czuły, że praca ich już nie ta, co dawniej, i pomoc z nich marna. Więc tylko po ziemi zbierały, co ze stołu spadło, a tak wychudły, tak szczerniały, że zamiast „bożęta" zaczęli na nie ludzie wołać „niebożęta".

Tymczasem po całej krainie rozeszły się echa owej cudnej pieśni, a gdy wieczorowe zorze zapaliły się na zachodniej stronie, w powietrzu zaczynało coś grać i śpiewać, jakby liry srebrne, a byli tacy, co i słowa tej pieśni słyszeli:

......Idzie Pan mocny, a wielki...
Idzie Pan nieba i ziemi......

Marja Konopnicka.

TREFNIŚ.

Biskup lubelski, lustrując pewnego razu swoje rozległe dobra, zatrzymał się w Czyżewie, gdzie miał wygodną rezydencję, i tu przyjmował deputację, złożoną z miejscowego plebana, wikarego, organisty, a zarazem bakałarza, oraz całej gromadki dzieci chłopskich, na której czele był Józef Sikora, i deklamował orację.

A była to oracja misternie wypracowana wierszem przez organistę, a każdy początek wiersza składał się z liter, które razem wzięte stanowiły imię i nazwisko dostojnego pasterza. Mówiono w niej o Adamie i Ewie, potopie, dziewięciu plagach egipskich — kończyła się zaś nadzieją lepszych czasów i zamykała takim wierszem:

Nawiedził nas, i znikła ta nawalna chmura,
On, ojciec! On, dobrodziej, wszedł in sua rura!

Mały deklamator, ucząc się tych wierszy, dziwnie się rozkoszował ich składnią, snać czuł w sobie rytmotwórczą żyłkę, którą miał kiedyś zasłynąć; szczególniej zakończenie samo bawiło go niezmiernie, gdy zamiast owych: „wszedł in sua rura!" zamienił na: „organista rura!"

Było to chłopię z czarnemi oczętami, dziwnie sprytnemi, okrągłą ogorzałą twarzyczką i kędzierzawemi włosami: jeden z tych, któremu psie figle chodzą ustawicznie po głowie.

— I stało się — a tym razem mimo woli swawolnika, — że, kończąc ową nieszczęsną orację, wyrecytował z całą dosadnością:

„On ojciec, On dobrodziej, organista rura".

Zgorszenie, przestrach, zgroza odmalowały się na twarzach deputacji, wielebny zaś gość śmiał się do rozpuku.

— Ha, ha! ha! A pójdź tu, mały niecnotko (biskup miał zwyczaj mówić zdrobniale). Ha! ha! ha! a skądżeś ty taki?

A to pocieszna kanalijka. Panie Kacprowicz, zabierz go asan do kocza, zawieziemy go do Lublina.

— A co my z nim zrobimy, Eminencjo?

— Trefnisia. Miał takiego książę prymas, miał wojewoda wołyński, i my będziemy mieli swojego. Patrz nań, Kacprusiu, toć to niecnotka do śmiechu stworzony. A bodajżeś ty nie urósł ze swoim rurą i organistą razem, ha! ha! ha! Matko Najświętsza, nie pamiętam, kiedym się w życiu tak uśmiał.

I oto Józef Sikora, nazwany już odtąd „Niecnotką", dostał się pod nadzór marszałka Kacprowicza na dwór biskupa lubelskiego.

Dziwna karjera otworzyła się nagle temu chłopskiemu dziecięciu. Miał odtąd być wesołkiem, miał spędzać smutek z dostojnego oblicza.

Gdy chłopakowi wyjaśniono, czem ma być, na biskupim dworze, zdziwił się mocno... On, który bywał bity za psie figle, tak, iż nieraz sińców dorachować się nie mógł, tu kazano mu je płatać, jeżeli chce zaskarbić łaski Przewielebnego, i opływać jak pączek w maśle.

Wprawdzie już przeszła wtenczas moda ubierania ich w pstrokate suknie i dzwonki, jednak Niecnotka dla odznaki dostał przy „harbaitlu" małą grzechotkę, tak że czy się ruszył, czy głową kiwnął, wydawał szmer owego dziecinnego bawidełka.

Jednak trzeba było dużo czasu, zanim ten polny kwiatek, przeniesiony do cieplarni biskupiego pałacu, potrafił się przyjąć. Sikora bywał smutny i zamyślony. Wśród dostatków tęsknił za kurną chatą ojców i cichą wioską. W końcu przecie temparament chło-

paka zrobił swoje, i Niecnotka bawił się wyśmienicie.

Biskup naprawdę polubił małego urwisza tak, że bez niego w podróż nigdy nie wyruszał.

Kazał go uczyć. Bystry umysł chłopaka chwytał w lot wszystko, że z czasem prałat obiecywał sobie mieć w nim wybornego sekretarza. Pasja jednak chłopaka, która przewyższała wszystkie, była żyłka rymotwórcza.

Przygodnych owych wierszy, które sypał Niecnotka jak z rękawa, nie zliczyć. Zajmował się ich zbieraniem i notowaniem w raptularzu ks. kapelan Rutkowski, bo trefniś nie dbał o nie, i wcale sobie nie obiecywał z nich nieśmiertelności.

Niecnotka bywał duszą biskupich zebrań i obiadów; ufny w łaskę pańską i bezkarność, dopuszczał się nieraz śmiałych i ciętych żartów.

Gdy wniesiono na obiedzie biskupim toast dla deputata Sczanieckiego, wojskowego chełmskiego i utytułowanego Jaśnie Wielmożnym, Niecnotka palnął rymem:

Zawsze Wielmożny Panie, na czas tylko Jaśnie,
Bo po świętym Tomaszu twoja jasność zgaśnie.

Oburzenie stało się wielkie; biskup Niecnotkę kazał zamknąć do kozy, ale nim się obiad skończył, już pożałował swej porywczości, i posłał mu półmisek z rybą, pod warunkiem, aby coś dowcipnego napisał i złagodził winę.

Niecnotka podał biskupowi następujący wierszyk:

Ryby na półmisku
Mam od księdza bisku...

— Cóż ten hultaj tu plecie? To taka poprawa? Biegaj, niech mi coś do rzeczy powie, bo go każę in fundo zamknąć na dwa tygodnie.

Posłaniec wrócił z dokończeniem:

pa, wtenczas nakreślę,
Jak mi wina prześle.

Dopiero śmiech i uciecha, i Niecnotka przywrócony do łaski, przeprosiwszy wprzód naturalnie obrażonego deputata.

Nie tu jednakże kończyły się talenta naszego trefnisia.

Okazał on przytem wyborny dar do muzyki. Francuz, bawiący na dworze biskupim, odkrył w chłopcu tę skłonność, i nauczył go przedziwnie grać na flecie. Chłopak, jak wszystko, pojął, tak i grał cudownie małoruskie dumki.

Biskup się rozpływał.

Każdego wieczoru w nogach łóżka siadał Niecnotka, i ukraińską melodją do snu kołysał prałata.

Grał póty, póki znużone powieki pańskie nie opadły. Wtenczas wynosił się po cichu z sypialni...

* * *

Było to w roku 1808.

Przed pałacem biskupim stanął jeździec na pięknym koniu, w ułańskim mundurze. Człek młody i piękny, a mianował się siostrzeńcem jego.

Biskup powitał młodzieńca obojętnie, a w rozmowie rzucał mu często wyrazy: — farmazony, bezbożnicy! — gniewał się czegoś bardzo. Wreszcie przywołał marszałka, i kazał Kazieczkowi (tak zwał młodzieńca) dać pokoje w lewem skrzydle pałacu.

Ten ułan sprawił dziwne zamieszanie w spokojnym dotąd trybie biskupiego dworu.

— Farmazony! farmazony! — mruczał nasz starzec. — Kiedyż ten poganin się wyniesie?

Niedługo czekał, przyszedł papier, i ułan zniknął — ale w parę dni i Niecnotka gdzieś się zapodział.

Uderzono na alarm. Poruszono całe miasto. Nigdzie śladu... Nareszcie sługa miejski odniósł do pałacu biskupiego kapelusz, a w nim „harbajtel" z grzechotką, którą znalazł nad rzeką.

Utopił się...

Starzec był niepocieszony po stracie Niecnotki.

— Niewdzięczny, niepoczciwy!... Czy mu to źle było u mnie? Topić się... O heretyk! heretyk! Farmazonami się zaraził. Wolałbym stracić pięćset dukatów, niż tego urwipołcia.

Kazał ciągnąć indagację z całej służby, aby się przekonać, czy mu nie dokuczano zbytecznie, ale się przekonał, że wszyscy serdecznie żałowali trefnisia.

* * *

Czasy stawały się coraz nieznośniejsze.

Wojenne surmy Napoleona i huk dział głuszyły Europę...

Powagi wszelkie padały, niby lalki w teatrze marjonetek.

Starcy się chowali, kiwając smutnie głowami, młodzież tylko kipiała życiem wielkiem i nadzieją dokonania czynów, o jakich nie marzyły dawne wieki.

Zrywały się i pękały wszelkie związki, wszelkie ogniwa, z których spojoną ongi była społeczność.

Rodzinom brakło synów, dworom pańskim sług i domowników.

Szkoły, klasztory, warsztaty rękodzielnicze, nawet strzechy kmiece świeciły pustką. Wszystkich wabiła i unosiła gdzieś gwiazda Napoleońska.

Nodszedł wreszcie rok 1812, przewaliła się przez Polskę wielka armja różnojęzycznych ludów.

Przeszła tryumfująca, wielka, rycerska, a wracała zgrają rabusiów, łupiezców, zabierając chleb i dobytek.

Biskupich uszu dochodziły coraz boleśniejsze jęki. Dobra jego, jak gdyby wskazane palcem wszechmocnej tej ręki, co wprowadziła owe tłumy, stały się pastwą ich łupieży.

Starzec, choć niedomagający, rzucił swój opustoszały ze sług pałac w Lublinie, i wieźć się kazał do Czyżewa.

Wioseczka leżała w dolinie, otoczona szumiącym lasem, zdala od głównego traktu, i była jedyną, gdzie nie przeszła falanga łupiezców, a jej zasobny spichlerz miał starczyć na wyżywienie i obstawanie innych folwarków. Dziesięć lat przeszło, gdy stąd uwiózł śmiejącego się chłopaka Józka Sikorę, do którego przyczepiono nazwę Niecnotki.

Dziś, jak przed dziesięciu laty, wyległa wioska witać go, i dziś organista z żakami miał doń przemowę, tylko zamiast komicznej sceny i śmiejącego się Józka, zbliżyła się skurczona stara kobiecina i pytała:

— Nie wiedzą też, kiedy Józek powróci?

— Jaki Józek? — spytał biskup.

— A no on, mój synaczek, co go zabrali tam do miasta, dziesięć lat temu, na panicza. Ja bym go tak widzieć chciała. A mój stary tak go łaknął przed śmiercią łońskiego roku!

Starzec przypomniał sobie Niecnotkę, i pokraśniał z żalu i zawstydzenia, że dotąd nie pomyślał o tych biedakach, którym wziął syna, i ten syn zaprzepaścił się marnie. I ta kobieta nic nie wie o jego śmierci... Jak to być może, że jej nie powiedzieli o tem?

Już chciał ją wywieść z błędu, gdy, spojrzawszy na stroskaną kobiecinę, ulitował się nad nią i umilkł.

Czuł, że zawinił przeciw tym biedakom, i długo w noc zasnąć nie mógł, a na dobitek, podagra się zjawiła i jęła szarpać nielitościwie schorzałe ciało.

Wśród bezsennej nocy, modłów i jęków usłyszał zgiełk jakiś wielki, a potem ujrzał w oknie łunę po-

żaru. Niebawem też wpadł sługa do sypialni z wieścią, że Francuzi napadli wioskę i palą, rabują, mordują.

I wnet falanga zwaliła się do pałacu.

Służba pierzchła.

Wywleczono chorego starca z pościeli.

— Bierzcie rabusie wszystko — wołał starzec rozpaczliwym głosem — tylko zostawcie mnie w spokoju.

Litość uciekła z tych zdziczałych piersi... — Walka z żywiołem srogim, głód i wszelkie klęski zaprawiły ich okrucieństwem. Związano starca i porzucono jak kłąb słomy na podłogę, zbito nielitościwie kolbami, i skopano nogami, rozbijano szafy, zamki, przetrząsano nawet pościel, pieniędzy nie było.

Zeszła noc, zabłysnął ranek, potem południe dobiegło. Zgraja rabusiów ucztowała w biskupim dworze, podczas gdy pan jego był bliski śmierci.

W tem odgłos trąbki doleciał zdala.

Był to znany sygnał ataku kawalerji.

Rabusie pobledli.

We drzwiach ukazał się porucznik ułanów, a za nim szeregowcy.

— Wiązać łotrów, a potem w łby palić!... Nieprzepuścić żadnemu!... Dźwięk tego głosu uderzył biskupa, jak echo miłych wspomnień.

Rozcięto na nim powrozy.

Przyczołgał się ku swemu zbawcy, i objął jego kolana...

— Ktoś ty jesteś, rycerzu, co niby Archanioł Michał gromisz duchów ciemności?...

Miast odpowiedzi, porucznik podjął starca, i położył go jak dziecko na łożu, potem wydobył flet, i zagrał znaną dumkę.

— Nie... ja śnię!... Jezusie Nazareński! Matko Najświętsza!... a marzę... to... to... Niecnot. Nie nie, to Cnota sama zjawia się przedemną w całym majestacie, aby ją mógł wielbić i kochać. O, mój ty złoty chłopcze, jam cię pokochał od pierwszej chwili a czemużem się ztem kryć musiał?...

Wiem, wiem!... już zgaduję wszystko. Ciebie wykradł i zabrał ze sobą Kazieczek niepoczciwy. A gdzie on?

— W Hiszpanji. Poległ pod Saragossą.

— Ty zastąpisz jego miejsce... prawda?

Lecz porucznik Sikorski go nie słuchał, bo zerwał się prędko od łoża, i padł plackiem do nóg nieśmiało kroczącej ode drzwi wątłej i skulonej staruszki, odzianej w szatę siermiężną...

Z życia Tadeusza Kościuszki.

W szkole rycerskiej.

I.

Stanisław August Poniatowski wkrótce po swojem wstąpieniu na tron otworzył w Warszawie szkołę rycerską, zwaną także szkołą kadetów. Wszyscy uczniowie tej szkoły tworzyli korpus kadecki, korpus zaś dzielił się na brygady. Na czele brygady stał oficer, zwany brygadjerem. Komendantem szkoły był książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Dokładał on wszelkich starań, aby wychowankowie szkoły rycerskiej byli nie tylko zawodowo wykształceni, lecz aby byli przedewszystkiem obywatelami, pracującymi dla dobra ojczyzny.

Przyjęcie ucznia do szkoły rycerskiej odbywało się uroczyście, by zaraz u wstępu wskazać młodzieńcowi obowiązki zacnego życia obywatelskiego.

Jednym z pierwszych uczniów szkoły rycerskiej był Tadeusz Kościuszko. Wszedł on do niej, mając lat ośmnaście. Młodego Tadeusza przedstawiono najpierw komendantowi, a ten, przywitawszy młodziana słowami zachęty do pracy, oddał go brygadjerowi. Z kolei brygadjer przedstawił Kościuszkę wszystkim przełożonym oficerom, a następnie kolegom.

Lecz na zawarcie bliższej znajomości nie było czasu.

Tadeusza zaprowadzono do profesorów, nauczających w szkole, przed nimi bowiem musiał poddać się egzaminowi wstępnemu.

Nazajutrz dopiero odbyło się właściwe przyjęcie nowego ucznia.

Gdy cały korpus zebrał się rano w sali, wszedł komendant i wezwał do siebie Kościuszkę. Młodzieniec zbliżył się doń, a książę tak przemówił:

— Czy wiesz waszmość pan, jakiego zgromadzenia będziesz miał honor być członkiem?

Zapytany odpowiedział:

— Wiem, że to zgromadzenie jest kosztem ojczyzny utrzymywane na to, żeby w niem kształcić obywateli zdatnych do jej usług.

— Przez co będziesz starał się waszmość pan stać się godnym zaszczytu być ojczyzny wychowankiem?

— Przez pilność w nabywaniu wiadomości, które mógłbym na jej usługi poświęcać, i przez ciągłą pamięć, że krwią, życiem i wszelkiemi siłami służyć jej powinieniem.

— Pamiętaj waszmość pan, że uroczyste bierzesz na siebie obowiązki w przytomności zgromadzonych kolegów. Bądź cnotliwy, odważny i pilny.

Wreszcie książę zapytał:

— Czy czujesz waszmość pan prawdziwą ochotę i czy szczere masz postanowienie wypełniać te wszystkie obowiązki, które przyjmujesz na siebie?

— Mam — odpowiedział Kościuszko.

Poczem wyszedł z sali wraz z brygadjerem i przywdziawszy mundur kadeta, jeszcze raz przyrzekł komendantowi, że sumiennie wypełniać będzie obowiązki.

MYŚLI.

Dziś patrjotą polskim nie może być nazwany ten, kto miłując swój naród, nie dąży jednocześnie do podźwignięcia go i pod względem ekonomicznym. Kto więc nie podtrzymuje rodaków na polu ich wytwórczości i wogóle w życiu ekonomicznym, nie kupuje u swoich, nie popiera towarów krajowych, nie daje zarobku swoim, a zwraca się do obcych — ten przy innych nawet poświęceniach nietylko nie zasługuje na miano patrjoty, lecz nie może być uznawany za dobrego obywatela kraju. Powinniśmy o tem ciągle pamiętać, że bez odbudowania części nie można odbudować i całości, i że, nie wskrzesiwszy naszego handlu, przemysłu i życia miejskiego i nie stworzywszy naszej zupełnej niezależności ekonomicznej, o poprawie bytu naszego marzyć nawet nie możemy.

Eugenjusz Starczewski.
Sprawa polska (1913).

Humor i satyra.

W szkole.

Nauczycielka: Dlaczego Marysia spóźniłaś się do szkoły?

Uczennica: Dziś rano przybył mi mały braciszek.

Nauczycielka: A, to co innego. Proszę jednak, aby mi się to częściej nie powtarzało...